

Krzysztof Koziołek
- wywiad z pisarzem

Coma
- nowa płyta

Bogdan
man from Italy

Bitwa 1920
- byliśmy w kinie

parapet



NA SOLO...
I W BOHURCIE

Drodzy Czytelnicy!

Oto pierwsze w tym roku szkolnym wydanie gazetki "Parapet", opracowane przez klasę multimedialno-dziennikarską, która na zajęciach z technologii informacyjnej i dziennikarstwa ciężko pracuje nad tym, aby w jakiś sposób zachęcić Was do lektury. Sporo piszemy, fotografujemy, przygotowujemy wywiady i reportaże... Po cichu liczymy na to, że docenicie naszą ciężką pracę ;)

Mamy nadzieję, że artykuły przypadną Wam do gustu, ponieważ ich tematyka jest bardzo różnorodna i niezwykle ciekawa. Przedstawione zostały tu nie tylko sprawy związane z naszą szkołą, ale także istotne wydarzenia ze Wschowy i okolic. Znajdziecie w niej najważniejsze fakty sportowe, recenzje, fotoreportaże i wiele, wiele innych...

Na koniec mamy dla Was mały konkurs. Pierwsze trzy osoby, które odgadną do jakiej gazety nawiązuje okładka "Parapetu", zostaną zaproszone na specjalną, świąteczną sesję fotograficzną. Odpowiedzi należy zgłaszać do p. Tomasza Wojnarowskiego.

Życzymy miłej lektury!

Sabine Urbaniak Adrianna Sobczak

Jesteśmy na facebooku:

GAZETKA SZKOLNA "PARAPET"



Napisz do nas:

dziennikarze11@interia.pl



WYWIAD

Bogdan – man from Italy

Paula Bąk

Bogdan Gheorge jest uczniem jednego z liceum w Turynie we Włoszech. Przyjechał do Wschowy w ramach programu Comenius, który organizuje trzymiesięczne, półroczne i roczne wymiany do różnych krajów. Bogdan zdecydował się wziąć udział w tym projekcie. Dlaczego? O tym w wywiadzie.

Bogdan, co było główną przyczyną, dla której zdecydowałeś się tu przyjechać?

Byłem ciekaw jak wygląda Polska, jak się tu żyje, jacy są ludzie? Jeden z moich kolegów był kiedyś w waszym kraju i opowiedział mi jak tu jest. Dlatego chciałem sprawdzić czy miał rację...

Mogłeś przecież pojechać z rodzicami podczas wakacji do Polski?

To nie to samo. Być i zwiedzać, a być i mieszkać. Poza tym, jestem ciekawy świata i lubię podróżować. Kiedy usłyszałem o tej propozycji pomyślałem: „Czemu nie?” Lubię wyzwania, a ten program jest swego rodzaju wyzwaniem, który pokaże mi czy potrafię zaaklimatyzować się też w innym kraju, a przede wszystkim w innej kulturze.

Ok, w takim razie, co podoba Ci się najbardziej w Polsce? Zrobiło coś na Tobie wrażenie, a może coś Cię rozczarowało?

Najbardziej podoba mi się otwartość ludzi. Włosi też są otwarci, ale w inny sposób. Polacy są tacy prości, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu, oczywiście. Chodzi mi o to, że nie wyszukują sobie problemów, tam gdzie ich nie ma. Jeśli natomiast chodzi o rozczarowanie, nie było nic, co mogłoby mnie w jakiś sposób zawieść. A wrażenie robi na mnie wszystko. Tu ludzie żyją inaczej niż w Turynie czy Bukareszcie.

Masz jakąś potrawę, którą polubiłeś najbardziej?

Smakuje mi tu wszystko, ale pierogi ...! Cudo...

Ha ha, a co z młodzieżą. Poznałeś naprawdę dużo ludzi?

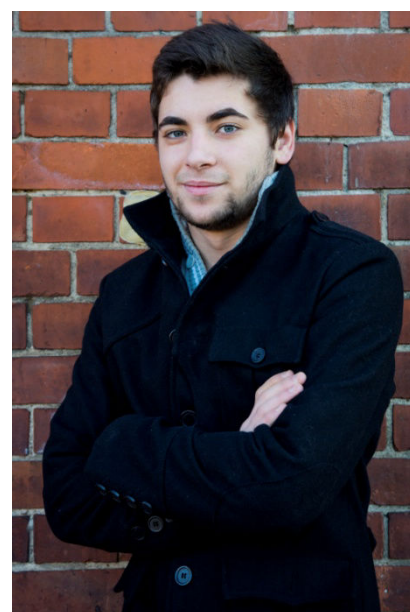
To właśnie uwielbiam w podróżowaniu w nieznaną. Moi rówieśnicy są zwariowani. Większość to naprawdę przyjaźni ludzie. Mimo tego, że nie bardzo potrafiliśmy się dogadać, no nie licząc "tłumaczy", to starali się oni robić wszystko, żebym nie poczuł różnic między Turynem a Polską. Jestem za to wdzięczny. Dzięki nim nauczyłem się też trochę polskiego.

Właśnie. Co sądzisz o języku polskim?

Nie jest łatwy, ale wydaje mi się, że dzięki temu, że umiem rumuński, ułatwia mi to trochę sprawę. Istnieje kilka podobnych wyrazów, tzn. ich dźwięk i wymowa są podobne. Ale i tak nauczyłem się nowych słów. Jestem mądrzejszy.

Czy chciałbyś przyjechać tu raz jeszcze?

Oczywiście. Na prawdę świetnie się tutaj bawiłem...



Większość uczniów naszej szkoły miało możliwość poznania Bogdana. Z tego co słyszałam, bardzo go polubili. Nie jest ideałem, bo tacy nie istnieją, ale to pozytywnie zakręcony i wesoły człowiek. Takich ludzi szybko się nie zapomina. Zachęcam wszystkich do brania udziału w tym programie. Owszem, jest to duża odpowiedzialność, ale wspomnienia i wszystkie przeżycia związane z nim są bezcenne.

WYDARZENIE

Na językach

Karolina Widera

We wrześniu tego roku w Zanie został zorganizowany Dzień Języków Obcych, w którym brały udział klasy pierwsze i drugie naszego liceum.

Zadaniem uczniów było zaśpiewanie piosenki zagranicznej oraz zaprezentowanie plakatu dotyczącego Unii Europejskiej. Mimo, iż dla nowych klas licealnych była to pierwsza tego typu impreza, spisali się doskonale, nie zostając w tyle. Najlepiej wypadła klasa Ib o profilu multimedialno-dziennikarskim. To właśnie oni zgarnęli całą pulę nagród (3 dni na niepytanie). Ich występ rozpoczął się od zabawnej rozmowy pomiędzy komentatorem angielskim a polskim. Krótkie, humorystyczne scenki, przedstawiające żmudną pracę trenera nad niezwykle "wysportowaną" reprezentacją piłkarską, zagwarantowały im zwycięstwo, a interpretacja plakatu, którą przedstawił Michał Majer, w szczególności spodobała się publiczności. Drugie miejsce zdobyła klasa IIa. Remix piosenek wypadł naprawdę fantastycznie, a ich występ został nagrodzony gromkimi brawami. Widać było, że młodzież traktuje rywalizację jako dobrą zabawę. Wszystkie klasy spisały się znakomicie, można było dostrzec ich ogromne zaangażowanie. Podczas obrad jury, większość licealistów bawiła się na scenie, tańcząc oraz śpiewając.

Cała impreza upłynęła w miłej i przyjaznej atmosferze. Mamy nadzieję, że kolejne będą równie udane...



WYDARZENIE***Akademia Powiatowa z okazji Dnia Niepodległości*****Michał Majer**

Każdego roku w listopadzie mają miejsce dwa wydarzenia bardzo szczególne dla Polaków: Dzień Wszystkich Świętych i Narodowe Święto Niepodległości. Owe dni skłaniają nas do szczególnych refleksji na temat życia i śmierci, ale też czasu, kiedy to odrodziła się nasza ojczyzna. To ostatnie święto obchodzone jest w całym kraju na pamiątkę odzyskania niepodległości 11 listopada 1918, po 123 latach niewoli. Uroczystości odbywają się w miejscach pamięci, kościołach i szkołach. Nie mogło być inaczej i w naszym liceum, które po raz kolejny, na dzień przed państwowymi obchodami, 10 listopada, zorganizowało Akademię Powiatową z okazji Święta Niepodległości.

W refleksyjny nastrój swą grą na fortepianie wprowadził zgromadzonych gości Łukasz Gawor. Następnie mogliśmy wysłuchać wielkiego przeboju Czesława Niemena "Dziwny jest ten świat" w wykonaniu Zuzanny Jędrzychowskiej.

Po odśpiewaniu hymnu głos zabrała p. Dyrektor, Elżbieta Przygoda, która oficjalnie rozpoczęła uroczystość i serdecznie powitała zaproszonych gości, m.in. Starostę Powiatu Wschowskiego p. Marka Boryczkę, Wicestarostę Powiatu Wschowskiego p. Zbigniewa Semeniuka, Burmistrza Miasta i Gminy Wschowa p. Krzysztofa Grabkę, ks. Prałata Zygmunta Zajęca, dyrektorów placówek oświatowych oraz wielu innych przedstawicieli władzy powiatowej i samorządowej naszego miasta. W realia tamtych dni listopada 1918 roku i czasów, w których



toczy się akcja "Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego, wprowadził publiczność p. Piotr Sobański, nauczyciel historii. To właśnie wybrane sceny ostatniej powieści Żeromskiego przedstawione przez uczniów z koła teatralnego "W ZANadrzu" były głównym punktem programu. Artystów przygotowywały opiekunki koła, p. Barbara Drobniak i p. Agata Karolczyk-Aplasz. Ciekawostką stanowiło połączenie gry aktorskiej z fragmentami filmu "Przedwiośnie". W przerwach pomiędzy poszczególnymi scenami przedstawienia utwory patriotyczne takie jak "Ojczyzna" czy "Do polityka" wykonywały Katarzyna Jakubowska, Anna Poszelużna i Joanna Nowaczyk.

Niezwykły montaż słowno-muzyczny przyniósł wspaniały efekt. Sceny z "Przedwiośnia" obrazujące różne wizje Polski (szklane domy - utopijna kraina szczęścia i dobrobytu, której poszukiwał główny bohater, Cezary Baryka; wizja rewolucji - socjalistyczna republika Rad, a wreszcie Polska zwykła, odradzająca się po czasach niewoli, która reprezentował Szymon Gajowiec) oraz pieśni dotyczące tej tematyki stanowiły esencję realiów tamtych czasów. Analogie między dwudziestoleciami międzywojennym, a współczesnymi czasami zaskoczyły wszystkich zgromadzonych. Teatralne widowisko stało się wielką i niezapomnianą lekcją patriotyzmu miłości do ojczyzny, a jednocześnie skłaniało do rozmyślań o tym, jaka przyszłość czeka nas i naszą piękną ojczyznę. Jak pisał Cyprian Kamil Norwid: "Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek i jeżeli pragniemy szklanych domów, o których marzył Cezary, to wszyscy musimy podjąć się tej pracy." To hasło szczególnie przyświecało tegorocznym obchodom święta patriotyzmu w naszej szkole.

OLA JAKUBOWSKA



**NA PRZERWIE
W PRZERWIE**





RECENZJA***Wojna wygrana... została przegrana*****Sabine Urbaniak**

"Bitwa warszawska" w reżyserii Jerzego Hoffmana to pierwsza polska produkcja 3D. Rok 1920. Jan (Borys Szyc) dostaje rozkaz wyjazdu na front polsko-bolszewicki. Natychmiast oświadcza się swojej ukochanej - Oli (Natasza Urbańska) - aktorce i piosenkarce. Bierze z nią ślub, którego udziela im ks. Ignacy Skorupka (Łukasz Garlicki). Podczas walk, główny bohater trafia do niewoli, jednak szczęśliwym trafem udaje mu się uniknąć śmierci. Ola postanawia wstąpić do Ochotniczej Legii Kobiet jako sanitariuszka. Ma nadzieję na odnalezienie męża, po którym wszelki ślad zaginął...



Dramatyczne wydarzenia wojny przeplatają się z wątkiem miłosnym głównych bohaterów. Fabuła filmu jest dobra, ale miejscami bohaterzy są mało wiarygodni, nie przekazują widzom prawdziwych emocji. Scenografia także budzi wiele wątpliwości, np. kula dyskotekowa czy plastikowe okna, które w tamtych czasach przecież nie istniały! Ewidentnie widać tutaj niedociągnięcia scenarzysty i reżysera - Jerzego Hoffmana, który pomimo, iż jest znakomity w swoim fachu, pracując nad tym filmem sprawia wrażenie, jakby nie wiedział co robi. Oglądając niektóre ujęcia zupełnie nie widać co dzieje się na ekranie. Można sądzić, że reżyser chciał pokazać wojnę z punktu widzenia reportera, który znajduje się na polu walki, ale to moim zdaniem nieudane zamierzenie. Cała bitwa, która jest jedną z największych bitew w Europie, ogranicza się tylko do kilku mało realistycznych scen.

Sądzę, że bitwę warszawską z 1920 r. jak najbardziej można uznać za "cud nad Wisłą", ale film Jerzego Hoffmana na pewno takim cudem nie jest...

RECENZJA

Czwarte wyjście z mroku?

Angelika Wojciech

Trzy lata temu Coma, jeden z najlepszych, polskich zespołów rockowych, wysoko zawiesiła poprzeczkę albumem HIPERTOPIA i właśnie dzięki niemu znalazła się w czołówce. Nowy album nie mający tytułu, ale z uwagi na szatę graficzną obrał miano "Czerwonego albumu", wymaga zadania sobie pytania czy słusznie?

"Główną koncepcją i zasadniczym założeniem tego krążka jest konsekwentnie realizowana zasada braku koncepcji, nic nie sugerujemy, chcieliśmy stworzyć kompozycję otwartą, która ostateczny wyraz przyjmie dopiero w konfrontacji ze słuchaczami" - mówi Piotr Rogucki, wokalista i frontman zespołu.

Nowy album Comy jest o wiele krótszy od poprzednich. Jest to dwanaście utworów, które dają nam pięćdziesiąt pięć minut podróży po różnych stylach. Jest kolorowo, rockowo-metalowo, niesymetrycznie, ale przede wszystkim PRZECIĘTNIE. Wszystko to już w wykonaniu Comy słyszeliśmy. Brakuje czegoś o mocnej sile rażenia jak „Leszek Żukowski”, „Spadam” czy „Daleka droga do domu”, lecz z jakimś nowym smakiem. Plus można dać za zróżnicowaną dynamikę, bo znajdziemy tu ballady ("ORh+"), utwory, które prawdopodobnie świetnie sprawdzą się jako kawałki koncertowe ("Gwiazdozbiory") i takie z porządnym rockowym uderzeniem ("La malaeducacion", "Deszczowa piosenka"), a nawet krótkie rockowe piosenki, które do specjałów podawanych przez Comę nie należą ("Na pół"). Mówiąc o brzmieniu trzeba zwrócić uwagę na świetne basy Rafała Matuszczaka, które moim zdaniem są najlepsze spośród wszystkich poprzednich płyt. Kolejny plus mogłoby dać większe pole do popisu, dla jednego z gitarzystów-Dominika Witczaka, co niestety miejsca nie miało. Mam nadzieję, że doczekam się tego na kolejnej płycie.

Co do działki tekstowej... Widoczny wpływ na treść "Czerwonego albumu" ma solowa płyta wokalisty. Jest krótko, zwięźle, bez zbędnej treści. Widać, że Piotrek się rozwija, ale czy w odpowiednim kierunku?

Przyczepić można się też do wokalu. Wokalista pozwolił sobie na wiele stylistycznych zabiegów i zabaw z mikrofonem, ale nie wyszło to do końca. Plusem jest tu zgranie się wokalu z brzmieniem, co jest zasługą świetnych gitarzystów, którzy idealnie operują swoim graniem.

Jako fanka Comy próbuję doszukać się jeszcze jakichś plusów, ale ciągle mam tylko te dwa. Po pierwsze świetna forma gitarzystów i basisty, a po drugie, zgranie się wokalisty z muzykami. Może resztę znajdę przy kolejnych przesłuchaniach. Myślę, że łódzki kwintet lekko rozczarował niespójnością nowego krążka, któremu brak motywu przewodniego. Dla starych fanów Comy zabraknie porządnego uderzenia i grafomanii w tekstach, ale dla nowych słuchaczy będzie to miłe zaproszenie, dzięki któremu powinni wsłuchnąć i poznać poprzednie krążki Comy.



TEMAT NUMERU: REPORTAŻ*Na solo i w bohurcie...***Norbert Czechowski****Zanim niebo runie na ziemię...**

Wschowa. Bogdan, trzydziestosześcioletni lekarz weterynarii, właśnie odbiera poród klaczy. Świadcami porodu jest gospodarz, jego żona oraz ich szesnastoletni syn. Mimo małych komplikacji źrebię rodzi się zdrowe i już po paru minutach beztrudno biega po stajni. *Może kiedyś zasiądzie na nim jeden z moich rycerzy*, wypowiada na głos swoje myśli weterynarz, wywołując nie lada zdziwienie wśród domowników. Bogdan jest już bowiem na polach grunwaldzkich, już obejmuje wzrokiem tysiące rycerzy nacierających na siebie podczas wielkiej inscenizacji bitwy pod Grunwaldem. Po chwili wraca jednak myślami do stajni, klepie gospodarza po ramieniu i stwierdza, że wszystko będzie dobrze.



Sława. Podleśniczy Robert odmierza kolejne kubiki ściętego drzewa, które są przygotowywane do transportu. Po godzinie wszyscy pracownicy oddalają się do samochodów na drugie śniadanie, ale on jeszcze na chwilę zostaje przy wycince. Kiedy drwale są już daleko, zwinnym ruchem chwyta siekierę w obie dłonie i zaczyna atakować ścięte bele drzewa sosnowego, a tak naprawdę obrońców Wielkiego Mistrza Zakonu, Ulricha von Jungingena. Pod okrutnymi ciosami siekiery wyimaginowani niemieccy zakonnicy padają niczym kłody ściętego drzewa. W końcu Robert traci siły, odkłada siekierę na miejsce: *Dobra, jeszcze tylko kilka tygodni do Grunwaldu, wytrzymam.*

Sto kilometrów dalej, w Poznaniu, student elektromechaniki Sławek, wsłuchuje się w monotony głos wykładowcy, który właśnie tłumaczy zawiłe tajniki układów scalonych. Bardzo mocno stara się skoncentrować, ale ołówek w dłoni sam pcha się na kartkę czystego papieru i rysuje na niej dwa nagie miecze wbite w ziemię.

Na trzy dni przed kolejną rocznicą bitwy pod Grunwaldem Bogdan, Robert i Sławek spotykają się z resztą drużyny ze wschowskiego bractwa rycerskiego, aby przyłączyć się do jednej z chorągwi króla Jagiełły i po raz kolejny, w glorii i chwale, przelać krzyżacką krew.

Biję się, żeby zapamiętać...

Na miejscu wszystko rozpoczyna się od rozbicia obozu. *Bractwo dorobiło się dwóch namiotów, jeden przeznaczony jest na kuchnię, a drugi służy nam za sypialnię*, chwali się Sławek, dziesiętnik. Najpierw mężczyźni wyrównują teren na którym mają stanąć pawilony. W tym celu używają niespecjalnie średniowiecznych łopat, a dokładniej szpadli pochodzących z demobilu armii. Technika rozbijania namiotów nie zmieniła się od stuleci i tak po kilkunastu minutach pierwsza część obozowiska zostaje

ukończona. Następnie rycerze rozpakowują pozostałe kufry, a w zasadzie torby i plecaki, w których – oprócz średniowiecznego wyposażenia – znajdują się mydła, szczoteczki do zębów oraz inne niehistoryczne przedmioty. Po rozłożeniu rzeczy na zewnątrz namiotów: dużego drewnianego stołu, krzesel, kotłów do gotowania czy wiader na wodę (wszystko wzorowane na przedmiotach codziennego użytku z epoki średniowiecza) przychodzi czas na przygotowanie miejsca do spania. Do namiotu trafia siano, które następnie należy równomiernie rozgarnąć. Spanie na słomie nie jest szczególnie wygodne, dlatego – jak informuje Sławek - *część ludzi śpi na sianie, niektórzy w siennikach, a spora grupa... na mało średniowiecznych, kampusowych karimatach*. Po rozbiciu obozu ludzie przebierają się w średniowieczne stroje: skórzane buty wiązane na rzemienie, wełniane lub lniane spodnie, lnianą koszulę oraz wełnianą górę dubletu, przypominającego dzisiejszą bluzę na guziki. I zaczyna się to, co wszyscy rycerze i wszystkie damy kochają najbardziej. *Można się trochę zapomnieć, odreagować, nie martwić się o rachunki za prąd, za gaz, za benzynę. To czas tylko dla nas, sprawy codzienne zostają w domu, teraz liczy się tylko bitwa, czas spędzony we wspólnym gronie*, tłumaczy Bogdan, na co dzień stateczny ojciec i mąż, obecnie jeden z rycerzy Gospodarstwa Mołdawskiego.

Kasza jęczmienna daje siłę

Najpierw trzeba rozpałcić ogień. W tym celu grupa trzech osób idzie na pobliskie skupisko pociętego drewna i przynosi kilka bali do obozu, które następnie dzieli na jeszcze mniejsze kawałki. Do rozpalenia ognia używa się niehistorycznych, czechowickich zapalek. Następnie nad ogniskiem stawia się kocioł, który jest umocowany na trójnogim stojaku. W tym czasie inna osoba przynosi kilka paczek kaszy jęczmiennej Sonko (niestety zapakowanej bardzo

nowocześnie, tj. w foliowych woreczkach), a jeszcze inna udaje się po wodę do pobliskiego kranu. W tym czasie pozostałe osoby przeglądają swój rynsztunek: miecze, topory, tarcze i dokonują konserwacji sprzętu za pomocą papieru ściernego. Po zagotowaniu wody połowy kucharz



dodaje do niej kaszę, która bardzo szybko pęcznieje (średniowieczny kuchcik nie ukrywa zdziwienia). Po zagotowaniu kaszy przychodzi czas na przygotowanie sosu. W mniejszym garnku przyrządza się pomidorową zawiesinę, która do garnka trafia wprost z pudliskowego słoiczka. Po połączeniu obu składników powstaje dziwny produkt, o lekkim różowym zabarwieniu, który nakładany jest na drewniane miski. Właściwie sosu jest tylko tyle, że kasza delikatnie zmienia kolor. *Nie ważne jak to wygląda i smakuje, ważne, że daje energię*, kwituje całe to gotowanie kucharz. Następnie do drewnianych kufli lub mniejszych, cynowych kubków, wlewany jest kwas chlebowy. Niektórzy wybierają wodę. Napoje zostały tu przywiezione w plastikowych butelkach używanych głównie ze względu na wygodę. *Natomiast łyżek używamy drewnianych, nieszczęśliwie wygodnych, a o widelcach nikt nawet nie myśli, wszystko można przecież zjeść łyżką*, wyjaśnia jeden z młodszych członków obozu. Często też przygotowywane są podplomyki. *Ciasto robimy z mąki i wody, a następnie smażymy je na patelni nad ogniskiem, natomiast chleb zazwyczaj kupujemy, gdyż nie mamy warunków, by go tu wypiekać*.

Na solo i w bohurcie...

Główna rozrywka większości współczesnych rycerzy sprowadza się do uczestnictwa w turniejach rycerskich. Aby wziąć udział w takiej zabawie należy posiadać odpowiednie uzbrojenie. *Wariant minimalistyczny to hełm, ochrona łokci i kolan, jakiś miecz, kolczuga i przeszywanica. Całość to wydatek około dwóch tysięcy złotych. Wariant maksymalistyczny to nawet kilkanaście tysięcy*, tłumaczy Bogdan. Ważną kwestią stanowi również wiek tych, którzy chcą się potykać w turnieju – tutaj nie ma taryfy ulgowej, trzeba mieć ukończone 18 lat. *Czasami zdarzają się ciężkie wypadki, ale z tą samą częstotliwością mają one miejsce na naszych polskich drogach. Mój kolega pukał się w czoło, kiedy opowiadałem mu o tym, co tu robimy. Pewnego dnia wybrał się na rekreacyjną przejażdżkę rowerem i obudził się po trzech dniach w szpitalu z asfaltem w zębach, bo mu przednie koło uciekło*, komentuje dziesiętnik.

W ciągu kilku dni obchodów rocznicy bitwy pod Grunwaldem rozgrywane są różne turnieje, od walk solowych poprzez zmagania konne na kopie, aż po bohurty, czyli walki drużynowe. *Wszystko zależy od tego w jaki sposób turniej jest umówiony, w jaki sposób są określone zasady tego turnieju. Jeżeli jest jakiś hardkorowy, to zwykle odmawiam w nim udziału. Dla mnie zdrowie jest najważniejsze*, stwierdza Robert.

Zmagania rycerzy w pełnych zbrojach sprawiają ogromną radość samym walczącym, ale też i publiczności oglądającej całe widowisko z trybun. Nad bezpieczeństwem pojedynkujących się czuwa sędzia, który w każdej chwili może przerwać walkę; w pobliżu stale obecna jest też służba medyczna i ambulans ratunkowy.

Innym źródłem rozrywki, preferowanym szczególnie przez kobiety są gry planszowe. Plansze, zgodnie z średniowieczną tradycją, zostały wykonane z kawałka płaskiego drewna lub rąbka skóry z wypaloną ryciną. Pionki do gry również zostały samodzielnie przygotowane, ale im poświęca się już więcej uwagi, bardziej dba się o szczegóły.



Wreszcie Grunwald!

Kulminacyjnym wydarzeniem całej imprezy jest inscenizacja bitwy pod Grunwaldem z Roku Pańskiego 1410. Widowisko przyciąga coraz większą rzeszę zbrojnych, którzy jak w XV wieku zjeżdżają tu z całej Europy. Co zrozumiałe, tak jak za czasów Wielkiego Księcia Witolda, również dzisiaj za rycerzami z Niemiec nikt nie przepada. W oficjalnych relacjach telewizyjnych tego nie zobaczymy, to by było zbyt niepoprawne politycznie dla dzisiejszych stosunków polsko-niemieckich, ale tak naprawdę pod Grunwaldem z Niemcami nikt nie chce rozmawiać, a tym bardziej ucztować – zawsze siedzą osobno, w samotności umierają też co roku na polu grunwaldzkim. W sumie to biedni są ci spadkobiercy Zakonu Krzyżackiego, ale przecież... porządek musi być.

Pod Grunwald całymi rodzinami przyjeżdżają też zwykli turyści, którzy mają już dosyć oglądania ruin

zamek, pustych dziedzińców czy zardzewiałych, rozpadających się eksponatów muzealnych. Bitwę chcą przeżywać z całą intensywnością: widzieć nacierających rycerzy, zrobić sobie zdjęcie z Krzyżakiem, czuć zapach obracanych na ruszcie prosiaków, napić się piwa, a na koniec kupić pamiątkę – mały mieczyk z wygrawerowaną datą: *Grunwald 1410-2010*.

Każdy, kto chce uczestniczyć w średniowiecznej rekonstrukcji bitwy, musi mieć uzbrojenie z tego okresu, do walki nie dopuszcza się ani wcześniejszego, ani późniejszego rynsztunku. *Ta zasada jest mocno przestrzegana, są oczywiście pewne odstępstwa, ale w granicach zdrowego rozsądku*, tłumaczy zbrojmistrz Robert. Przed ostateczną bitwą odbywa się szereg prób, tak aby wszystko było tak jak być powinno. W dzień inscenizacji bitwę poprzedza uroczysty wymarsz. Setki rycerzy w lśniących zbrojach podążają za swoim władcą na miejsce, gdzie poleje się krew.

W upalnym, lipcowym słońcu rycerze ustawiają się na swoich pozycjach. Na tę chwilę czekali cały rok. W tym samym czasie ludzie ubrani w t-shirty i kolorowe rybaczki przepychają się, aby zająć jak najlepsze miejsce. Wysoka kobieta w czerwonej koszuli na chwilę wstaje, żeby wypatrzeć swojego męża i dzieci, które jeszcze nie wróciły ze straganów. Osoba siedząca dwa rzędy za nią w końcu nie wytrzymuje i krzyczy na całe gardło: *Pani w czerwonym usiądź no że wreszcie, zasłaniasz nam*. Sytuacja na trybunach jest równie gorąca jak w szeregach rycerzy.

Wreszcie rozpoczyna się przedstawienie. Publiczność ucisza się, żeby usłyszeć słowa narratora. Inszenizacji towarzyszy bowiem komentarz, zgodny z prawdą historyczną, tak aby widz mógł lepiej zrozumieć to, co się dokładnie dzieje na polu walki. W trakcie inscenizacji do rycerzy co chwilę podchodzą kobiety w lnianych, długich sukniach, niosąc walcującym wodę w dzbanach. W pełnym uzbrojeniu i przy tak wysokiej temperaturze płyny są bardzo potrzebne. Widzowie znajdują się w lepszej sytuacji - podczas przedstawienia piją piwo lub po prostu kolorowe napoje. W sumie spektakl trwa około dwóch godzin.

Egzystencjalne dylematy pokonanych i równie ważne przemyślenia wygranych

Po kolejnym, historycznym zwycięstwie zaczyna się wielka, historyczna uczta. Chorągwie sprzymierzone z Polską i Litwą świętują zwycięstwo, natomiast Zakon Krzyżacki i jego sojusznicy... no właśnie, tu jest problem natury egzystencjalnej, otóż przegrani (czytaj: pomordowani na polu grunwaldzkim) nie mają przecież zbyt wielu powodów do świętowania. Z drugiej strony co mieliby robić – spakować się i pojechać do domu? Dlatego po bitwie oni również uczestniczą w uczcie. Podczas wieczery spożywane są wielkie ilości mięs, głównie kiełbasy z grilla zapijanej hektolitrami miodu. Rycerze głośno śpiewają, krzyczą i co jakiś czas powstają, aby oddać się tańcom. W całym tym harmidrze zachowana jest jednak kultura, nikt nie beka na głos, nie przeklina, bo jakby to wyglądało w towarzystwie dam?

Zabawa trwa przez całą noc. Czasami zdarzy się, że w którymś z namiotów zawali się wiata – ten drobny incydent nie przerywa radosnych uciech; po bitwie trzeba przecież świętować, jutro przyjdzie czas na naprawianie szkód. Nad ranem zabawa dobiega końca. Po odespaniu również zwycięskiej nocy jak wcześniej rozegranej bitwy, przychodzi czas na pakowanie i powrót do współczesnego świata.

Kiedy cała wschowska drużyna jest już gotowa do drogi, Bogdan na odchodne niby to do siebie, niby do innych, mówi: *Co, nie chce się wracać? Z samej wojaczki to wyżyć można było w XV wieku. Jak się nie ma dwóch wiosek, które robią na swego seniora, to trzeba samemu brać się do roboty. A potem jeszcze dodaje: Ludzie, nie ma się co łamać. My tu jeszcze wrócimy... za rok.*

MOIM ZDANIEM***Wschowa w skali mikro*****Patryk Matysek**

Plastik, drewno, folia. Do tego trochę chęci oraz pasja i oto powstało dzieło warte każdego spojrzenia. Tak pokrótce można opisać makietę prezentującą nasze miasto na przełomie XVII i XVIII w.

Muzeum Ziemi Wschowskiej, w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa zorganizowało wystawę pod tytułem "Wschowa - przestrzeń na pograniczu światów", której ogólnym tematem był przestrzenny rozwój Wschowy. Makieta, stała się główną atrakcją wystawy.

Niełatwego zadania, jakim było wykonanie tego niezwykle precyzyjnego tworu, podjęła się poznańska firma Modern - Art. Poza cierpliwością i kreatywnością, potrzebną do stworzenia czegoś co miało budzić wśród ludzi podziw i zachwyt - niezbędna okazała się także umiejętność pracy w grupie. Nie było to bowiem dzieło jednego człowieka, lecz efekt pracy zespołu osób. Przygotowanie i budowa makiety trwały około roku. Możemy na niej nie tylko podziwiać wszelkie charakterystyczne dla naszego miasta budowle i miejsca, lecz także dostrzegać jak bardzo rozwinęło się pod względem infrastruktury i architektury oraz... jak bardzo się zmieniło.

Niezwykle istotnym aspektem makiety okazało się zastosowanie przy jej montażu najnowocześniejszej technologii, umożliwiającej multimedialną prezentację Wschowy i jej atrakcji turystycznych. Polega ona na automatycznym przedstawieniu wybranego elementu, czyli wyświetleniu slajdów na ekranie i odtworzeniu materiału audio, opowiadającego o danym miejscu. Pozwoliło to przekonać wiele osób do odejścia od stereotypu mówiącego: MUZEUM = NUDA, a szczególnie młodzież, która równie licznie jak dorośli, pojawiała się w ponure, jesienne dni w Muzeum Ziemi Wschowskiej.

Obiekt został wykonany na podstawie mapy archiwalnej, co świadczy o autentyczności każdego, prezentowanego na nim szczegółu. Wymiary makiety wynoszą 2x3 m. Pozwala to na wygodne jej podziwianie, centymetr po centymetrze.



Pomimo tego, iż wystawa dobiegła już końca, samą makietę postanowiono pozostawić jako stały eksponat muzeum. Jeśli zatem ktoś nie miał okazji jej ujrzeć - nic straconego. Po odbudowie Kolegium Jezuickiego, zostanie ona przeniesiona wraz z siedzibą Muzeum Ziemi Wschowskiej, a następnie udostępniona zwiedzającym.

Stworzenie i zaprezentowanie opisanej powyżej makiety było fenomenalnym pomysłem. Spotkało się z pozytywnymi opiniami zarówno fanatyków i miłośników historii, jak i zwykłych mieszkańców. Pozwoliło spojrzeć inaczej na nasze miasto i powrócić

oczami wyobraźni do korzeni tego miasta.

Każdy, kto czuje się wschowianinem lub w jakikolwiek inny sposób jest związany z naszym miastem, powinien udać się do muzeum i dzięki makiecie poznać historię Wschowy. Połączenie tradycji z dobrami XXI wieku daje efekt, który zadowoli zarówno młodszych, jak i starszych.

Makieta propaguje, nie tylko historię Wschowy, lecz również jest kolejnym dowodem, potwierdzającym jej niepodważalne piękno i fakt, że warto zwrócić na nią uwagę, gospodarując czasem wolnym. "Cudze chwalicie, swego nie znacie" - nie trzeba spoglądać daleko, by dostrzec jakieś atrakcje. Czasami wystarczy spojrzeć bliżej, a znajdzie się coś, co okaże się godne podziwu i kilku minut naszej egzystencji.

WYWIAD

Nie lubię trzech rzeczy w życiu: chamstwa, hipokryzji i zapachu palonych liści jesieni -

z Krzysztofem Koziółkiem rozmawia Emilia Pawlus

Krzysztof Koziółek z pochodzenia jest zielonogórczaninem. Obecnie mieszka w Nowej Soli. Ten młody polski powieściopisarz, który w 2007 roku zadebiutował kryminałem „Droga bez powrotu”, ma w swoim dorobku już pięć powieści. W 2011 roku został uznany za najbardziej obiecującego lubuskiego pisarza.

Podczas ostatniego listopadowego piątku odwiedził Wschowę na zaproszenie Stowarzyszenia Fabryka Kultury i Biblioteki Publicznej we Wschowie. Wcześniej spotkał się z młodzieżą z I LO we Wschowie, żeby opowiedzieć o pracy reportera. Z Krzysztofem Koziółkiem rozmawia Emilia Pawlus.

Emilia Pawlus: Gdyby poproszono Pana o scharakteryzowanie samego siebie w kilku zdaniach, jak one by brzmiały?

Krzysztof Koziółek: *Powiem tak, mimo, że jestem dość nieśmiały, to jednak inni odbierają mnie jako osobę bardzo otwartą, czemu w sumie mocno się dziwię. Poza tym bardzo często powtarzam, że nie lubię trzech rzeczy w życiu: chamstwa, hipokryzji i zapachu palonych liści jesieni na ogródkach działkowych. A ostatnio mogę powiedzieć o sobie, że jestem - tak pół żartem pół serio - kryminalistą, tyle że bez wyroku, ponieważ od pięciu lat zajmuję się pisaniem i wydawaniem kryminałów sensacyjnych.*

Jak rozpoczęła się Pana przygoda z literaturą, z pisaniem? Kiedy świadomie sięgnął Pan po pióro, żeby napisać coś własnego?

Myślę, że moja przygoda z tworzywem dziennikarskim czy pisarskim rozpoczęła się w pierwszej klasie szkoły podstawowej, gdy moja wychowawczynie zaprowadziła całą klasę do biblioteki. Kiedy zaczęłam czytać książki, przez szkołę podstawową i średnią czytałam średnio 100 książek rocznie i podejrzewam, że to też ma ogromny wpływ na to, że zostałam dziennikarzem, że pisałam do gazet, a teraz z tym, że się zajmuję książkami. Natomiast jeżeli chodzi o taki prawdziwy debiut pisarski to bodaj w 1997 roku "Gazeta Lubuska" miała taki konkurs dla czytelników, którzy pisali powieści w odcinkach. To się chyba nazywało „Miłość do odstrzału”. Pamiętam, że cztery z opublikowanych wówczas odcinków tej powieści udało mi się napisać.



Teraz chciałabym, żeby uchylił Pan rąbka tajemnicy i wyjawiał tajniki swojego warsztatu pisarskiego. W jaki sposób pracuje Pan nad powieścią? Najpierw pojawia się pomysł, który długo dojrzewa w głowie, czy od razu siada Pan do komputera i pisze, a dopiero potem wprowadza korekty?

Najczęściej jest tak, że takie pierwsze pomysły na powieść zapisuję sobie w zeszytach. Natomiast kiedy się zaczyna z tego układać taka większa historia, rozpoczynam pracę przy komputerze i wtedy w zasadzie idzie to już ciurkiem, raczej nie mam problemu z węgą twórczą. Jedyne mój problem to brak czasu. Kiedy historia się ułoży, idzie już bardzo szybko. Pomysły na książki przychodzą pod prysznicem, przy zmywaniu naczyń, podczas jazdy samochodem i wtedy jakoś zawsze wkomponowują się w powieść, nad którą aktualnie pracuję.

Czyli rezygnacja z dziennikarstwa, która miała być przepustką do większej ilości czasu poświęconego na pisanie nie powiodła się...

No niestety, nie udało się, dla mnie to jest trochę paradoks, bo kiedy pracowałem jako dziennikarz pisałem książki wieczorami, w nocy i podczas weekendów. Liczyłem, że kiedy odejdę z pracy na etacie i zajmę się tylko książkami, będę miał więcej czasu. Niestety, jestem również wydawcą swoich powieści, dystrybutorem i rzecznikiem prasowym, taki człowiek złota rączka, więc tych rzeczy niezwiązanych z pisaniem jest tak dużo, że na pisanie zostaje bardzo niewiele czasu. Mniej, niż kiedy pracowałem jako dziennikarz, chociaż staram się, żeby tego czasu było jak najwięcej. Teraz, czyli zimą, będę miał więcej czasu, więc siadam do kolejnej powieści.

W jakich okolicznościach najlepiej się pisze? Nocą, o poranku, a może w jakimś szczególnym miejscu?

Do swojej pracy mam przystosowane biurko - to jest takie miejsce, przy którym najczęściej pracuję. Jeśli chodzi o porę dnia to ważne, żeby zawsze pracować po godzinie 8.00 rano. Piszę w ciągu dnia, przed południem, popołudniu i w nocy. Nie jestem jak Marek Krajewski, nie potrafię wstać o 6.00 rano, żeby pracować nad powieścią. Jestem z tych, którzy lubią sobie pospać.

Jakie wydarzenia inspirują Pana, codzienne sytuacje, świat polityki? Gdzie szuka Pan tematów do swoich utworów?

Jestem typem obserwatora, tzn. przypatruję się temu, co się dzieje w polityce, przede wszystkim polskiej, interesuje mnie też nasze społeczeństwo, ten nasz lokalny ogródek... Mam też w głowie informacje, które zdobyłem jako dziennikarz, a których z różnych powodów nie wykorzystałem.

Dlaczego wybrał Pan formę kryminału do opowiadania historii? Co jest w tym gatunku najbardziej pociągającego?

Ja jej nie wybrałem, to ona wybrała mnie. Zawsze lubiłem czytać kryminały, sensacje, thrillery, powieści przygodowe, a ponieważ jestem samoukiem staram się pisać tak jak sam lubię czytać. Więc akurat ten gatunek literatury uprawiam. Drugi powód: strasznie nie lubię opisów, dłużyzn w książkach i staram się tak robić, tak pisać książkę, żeby była w niej przede wszystkim akcja, aby czytelnika zainteresować od pierwszej do ostatniej strony.

Marek Krajewski od lat pisze kryminały o przedwojennym Breslau, Konrad Lewandowski o Warszawie z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Pan postanowił osadzić akcję swoich powieści w południowo-zachodniej części Polski. Czy ma Pan zamiar w ten sposób wypromować ten rejon?

I tak, i nie. Nie robię tego specjalnie, tzn. nie siadam do kolejnej książki i nie zastanawiam się gdzie by tu umieścić akcję, żeby się książka sprzedała. Jak powiedziałem, nie znoszę hipokryzji, a byłbym wtedy ostatnim hipokrytą. Natomiast mieszkam tutaj, tu się wychowałem, te tereny znam, dlatego tutaj prowadzę akcję powieści, ale nie ukrywam, że przy okazji chciałbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i pokazać te piękne aspekty województwa lubuskiego, te tereny, których my sami do końca nie jesteśmy

świadomi. Po drugie, często nie potrafimy ich promować w szerokiej Polsce.

Czy Pana zamiłowanie do gór miało jakiś wpływ na wybór miejsca akcji w niektórych powieściach?

Ewidentnie. W mojej debiutanckiej książce „Droga bez powrotu”, która w pewnym momencie przenosi się z Nowej Soli właśnie w Karkonosze, pisząc te fragmenty górskie - tak to nazwijmy - bazowałem przede wszystkim na doświadczeniach, które zdobyłem chodząc po górach, co zresztą uwielbiam. Wiele też zależy od tego czy pasuje mi prowadzić akcję w górach... Jeśli tak, to ją prowadzę. Pisanie thrillera „Premier musi zginąć” zaczęło się od tego, że gdy wracając ze Szrenicy w Karkonoszach, przechodziłem obok ujęcia wody pitnej dla Szklarskiej Poręby pomyślałem sobie, co by było gdyby ktoś coś tam wrzucił niedobrego...

Większość ludzi - szczególnie młodych - sądzi, że kiedy pisarz stawia ostatnią kropkę, to następnego dnia oddaje ją do druku i po sprawie. To takie łatwe? Jak wygląda droga od zakończenia dzieła do momentu jego publikacji?

Jeśli się nie ma znajomości, albo ogromnych pieniędzy, aby samemu wydać książkę, to trzeba szukać wydawnictw, które się tym zainteresują. Niestety, w większości polskie wydawnictwa debiutantami nie są zainteresowane. Sam przeszedłem tę drogę i jeśli komuś jakimś cudem uda się trafić na krótką listę wydawnictwa to i tak między tym momentem, w którym komuś się wydaje, że skończył powieść, bo potem trzeba ją przeredagować i nieraz poprawić, a momentem w którym będzie mógł pójść do księgarni i ją kupić, mija minimum rok, a najczęściej dwa, trzy lub cztery lata, albo jeszcze więcej.



Jak wyglądają Pana plany na najbliższą przyszłość, czy mamy się spodziewać kolejnej sensacyjnej powieści?

Plany są dosyć bogate, w tej chwili kończę powieść, właściwie thriller prawniczy, który będzie się nazywał „Ława przysięgłych”. Ma się ukazać w przyszłym roku, jak również historia oparta na faktach, o roboczym tytule „Instrukcja 0039”, historia byłego policjanta ze Ślubic. Tu wygląda to troszeczkę inaczej, tzn. ja nie wymyślam tego, co będzie w książce, bo ten scenariusz napisało samo życie. Ja z tej historii będę

tworzył kryminał. Jest jeszcze jedna gotowa książka, ale ona będzie pewnie wydana w 2013 roku.

A może myślał Pan o innej formie, gatunku, w którym też mógłby się Pan sprawdzić?

Nie wiem czy czułbym się dobrze w innej formie, aczkolwiek mam pewien plan, pomysł na kryminał science fiction. Połączenie dwóch gatunków w jedną całość..

Oprócz wędrówek po górach w jaki sposób spędza Pan wolne chwile?

Moim hobby jest żużel, kibicuję jednej drużynie od 30 lat, Falubazowi Zielona Góra. Przy tej okazji - i to bez cienia złośliwości, bo jestem normalnym kibicem - pozdrawiam fanów Unii Leszno. Wiem, że jest ich tutaj wielu. Staram się też odpoczywać, czasami udaje się obejrzeć jakiś dobry film, bardzo często spaceruję, łączę w ten sposób dwie rzeczy: spędzanie kilku godzin dziennie przy komputerze wymaga dbania o mięśnie, dlatego chodzę z kijkami. W ten sposób również staram się zrelaksować...

Czyli pomysłem na pozbycie się stresu jest spacer?

Tak, pod warunkiem, że podczas tego spaceru mój mózg nie zacznie działać niezależnie ode mnie i nie będzie wymyślał kolejnych scen do powieści, bo wtedy muszę się zatrzymać i zapisać to w komórce.

Często się to zdarza?

Niestety bardzo często. Mówię niestety dlatego, że momentami utrudnia to funkcjonowanie. Zdarza się, że pomysł przychodzi tuż przed zaśnięciem, a czasami nawet budzę się w nocy, muszę wtedy wstać i zapisać kilka myśli.

Czy we Wschowie jest Pan po raz pierwszy?

Tak, co prawda kilka razy zdarzyło mi się przejeżdżać przez Wschowę. Jestem fascynatem starych obwarowań, murów, zamków, a zauważyłem, że we Wschowie są takie mury, więc mam nadzieję, że znajdę chwilę i będę mógł je z bliska zobaczyć.

A to, co zobaczył Pan do tej pory, zachwyciło?

Na razie najbardziej utkwiło mi w pamięci to, że zgubiłem się na wschowskim rynku, jeżdżąc w kółko w uliczkach jednokierunkowych. A tak zupełnie na poważnie to dzisiaj, kiedy przyjechałem do Wschowy, miasto ukazało mi się w słońcu i wyglądało naprawdę bardzo atrakcyjnie.

MOIM ZDANIEM...***Miłe rozczarowanie*****Joanna Walkowiak**

Pierwszywrześnia był dla mnie wielkim wyzwaniem. Od tego czasu moje życie uległo dużej przemianie. Przez pierwsze dni w nowej szkole czułem się obco i nieswojo, wszystko mnie tutaj przerażało. Nowa klasa, nowi nauczyciele, nowe otoczenie... Całość sprawiała, że czułem strach i obawę, czy zdołam podołać nowemu wyzwaniu.

Teraz, gdy mam za sobą już trzy miesiące nauki, mogę stwierdzić, że szkoła, do której uczęszczam jest przyjazna, a poziom nauczania naprawdę wysoki. Wiem jednak, że dzięki temu mogę dobrze przygotować się do matury, zdać ją, a następnie dostać na wymarzone studia, a to wszystko za sprawą ciężkiego wysiłku i własnej pracy.

W moim liceum mogę realizować i poszerzać swoje pasje, uczęszczając na koła zainteresowań i brać udział w różnych konkursach. Każdy znajdzie tu coś dla siebie! Miłym zaskoczeniem jest dla mnie to, jak każdy nauczyciel stara się przekazać uczniom swoją wiedzę, wkładając w to wiele pracy i serca. Cieszę się również z tego, że ja i moi rówieśnicy nie spotkaliśmy się z wrogością wśród klas starszych.

Przez miniony czas zdążyłam się już tutaj zaaklimatyzować. Bardzo cieszy mnie fakt, iż mam zgraną, miłą klasę oraz wychowawcę, który otacza nas ciągłą troską, zaraża swoim entuzjazmem, motywuje do nauki i brania udziału w różnych przedsięwzięciach. Jestem świadoma, że lekko nie będzie, ale ważne, aby się nie poddawać się, podnosić po porażkach i dążyć wytrwale do wyznaczonego celu!

Czuję, że te trzy lata spędzone w liceum będą moim najlepszym okresem, który wprowadzi mnie w dorosłe życie, wiele nauczy oraz pozostawi niezapomniane, piękne wspomnienia.

SPORT***Rzuć do kosza... piłkę i alkohol!*****Michalina Gertych**

We wtorek, 22 listopada odbyła się V edycja turnieju koszykówki dziewcząt „Rzuć do kosza... piłkę i alkohol!” zorganizowanego przez Macieja Grabianowskiego z Gimnazjum nr 1 we Wschowie i sfinansowanego dzięki środkom uzyskanych z Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych i Przeciwdziałania Narkomanii.

W turnieju, który odbył się na Sali OSiR, udział wzięły zawodniczki ze Szkoły Podstawowej nr 1, Zespołu Szkół im. St. Staszica, Gimnazjum nr 1 oraz z I LO we Wschowie.

Skład naszej reprezentacji był następujący: Daria Świdarska(Ib), Sabine Urbaniak(Ib), Małgorzata Maćkowiak(Ib), Magdalena Majnert(Ic), Magdalena Pluntke(Ib), Ewa Kunicka(Id), Anna Machnacz(Id) oraz Michalina Gertych(Ib).

Nasza szkoła zajęła trzecie miejsce, ale trzeba przyznać, że rywalizacja była niezwykle zawzięta. Cały turniej wygrało Gimnazjum nr 1 im. Królowej Jadwigi we Wschowie. Po ogłoszeniu wyników każda drużyna otrzymała sprzęt sportowy w postaci piłki koszykowej lub siatkowej, a wszyscy uczestnicy dostali słodki upominek. Turniej zakończył się wspólnym zdjęciem. Mocno wierzymy w to, że w przyszłym roku nasza drużyna poprawi swoje wyniki i pokona tegorocznych zwycięzców.

Wywiad***Młdzież, młodzież i jeszcze raz młodzież!*****Małgorzatę Błażków przepytuje Julia Wycichowska****Imię i nazwisko:** Małgorzata Błażków**Ukończone studia:** Filologia rosyjska, Nauczanie początkowe, Bibliotekoznawstwo i Informacja naukowa.**Staż pracy:** 30 lat !**Jestem nauczycielem...** (trudno powiedzieć) Proszę zapytać innych.**W moim zawodzie lubię...** młodzież, młodzież i jeszcze raz młodzież!**Gdy byłam dzieckiem chciałam zostać...** być może jest to nudne, ale od zawsze chciałam być nauczycielką.**Pierwsza praca:** ZAN, jestem mu wierna.**Naprawdę dorosła poczułam się gdy...** Usłyszałam słowa : „Jest pani magistrem filologii rosyjskiej.”**Przyzwyczałam się już, że....** uśmiecham się ,bo młodzież na mój smutek reaguje pytaniem „Co pani jest?”**Gdy stoję przed lustrem widzę...** myślę , że zawsze tą samą osobę, która jest życzliwa dla wszystkich z wyjątkiem siebie.**Nigdy nie zgodziłabym się...** na coś, co nie pozwoliłoby mi spojrzeć na siebie w lustro.**Chciałabym zamieszkać...** we Wschowie ;)

Z przyjemnością wybrałabym się... do Włoch.

Uwielbiam... uczyć i patrzeć na dorastającą młodzież, czuć, że w nich jest częśćka mojej pracy.

Moje hobby to... książka, dobry film i sport (stosownie do wieku).

Prawdziwych przyjaciół... poznajemy w biedzie (mam to sprawdzone).

Z sąsiadami... żyję w zgodzie i harmonii.

Za kierownicą... nigdy nie siedziałam, szkoda, byłabym świetnym kierowcą.

Przed telewizorem... często zasypiam.

Gdybym mogła cofnąć czas... pewnie nic szczególnego by się nie wydarzyło. Nie żałuję niczego.

WYDARZENIE

Cecyliada

Magdalena Pluntke

W sobotę i niedzielę (19-20 listopada 2011 r.) w Gimnazjum nr 2 we Wschowie, odbył się X Przegląd Piosenki Religijnej. Organizatorem całej zabawy była Akcja Katolicka.

W poprzednich latach uczestnicy Cecyliady uważali ją za formę konkursu, która nie cieszyła się zbyt dużym powodzeniem. Jednak w tym roku cała impreza musiała zostać przeniesiona z Domu Kultury do Gimnazjum nr 2, z powodu wzrastającej liczby chętnych.

Na spotkanie przybyło ponad 500 artystów, w tym grupy muzyczne ze Wschowy, Leszna czy Poznania. Udział w całej imprezie brali zarówno dorośli, jak i młodzież oraz dzieci - wszyscy dzięki swojej muzyce umacniali nas w wierze chrześcijańskiej. Na salę przybyło wiele osób, które z przyjemnością słuchały piosenek religijnych. Widzowie i organizatorzy byli bardzo zadowoleni z przebiegu zabawy. Mieszkańcy Wschowy i okolic z niecierpliwością czekają na przyszły, XI Przegląd Piosenki Religijnej.

Na parapecie opierali się:

Sabine Urbaniak - redaktor naczelny

Aleksandra Jakubowska - fotografia

oraz:

Paula Bąk

Emilia Pawlus

Michał Majer

Norbert Czechowski

Michalina Gertych

Karolina Widera

Patryk Matysek

Angelika Wojciech

Joanna Walkowiak

Julia Wycichowska

Magdalena Pluntke

Adrianna Sobczak

Cecylia Guzewicz

Parapet podtrzymywał: Tomasz Wojnarowski